

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Stulecie Maurycyego Mochnackiego

W dniu 6 stycznia br. zjawiał się na ementarzu francuskim w Auxerre ambasador polski, by imieniem wolnej Rzeczypospolitej złożyć hołd pamięci spoczywającego tam Maurycyego Mochnackiego. — człowieka, który miał prawo powiedzieć o sobie, że wolna Polska była jedynym romanssem jego życia. Umarł Mochnacki w Auxerre, przed stu laty, dnia 20 grudnia 1834 r., i dziwnym jest, że uroczystości jubileuszowe ograniczyły się tylko do skromnego obchodu przy jego grobie. Był Mochnacki przecież mistrzem prozy polskiej, jakiego od Skargi polska literatura nie miała i był zarazem największym polskim publicystą. Grób jego w Auxerre, na którym stoi popiersie dłuta Oleszczyńskiego, dotąd zaniedbany, zasługuje chyba na to, by utrzymaniem i ozdobieniem jego zajęły się polskie zrzeszenia dziennikarskie. A może byłoby wskazane, by ciało jego pochowano w polskiej ziemi, o wolność której bił się Mochnacki bohaterem piórem i orężem. Wstąpiwszy do powstańczego wojska jako ochotnik szeregowiec był pod Wawrem i Ostrołką odniósł w walkach siedem ran i przekroczył wraz z całą armią granicę Pruska jako podporucznik i kawaler orderu Virtuti Militari. Wśród naszych wielkich mistrzów pióra nie wielu było takich, którzy spełnili jak on w pełni obowiązki żołnierski.

MŁODOŚĆ I KONSPIRACJA

Urodził się Mochnacki w Bojańcu pod Lwowem 13 września 1804 r. i tutaj, w b. Galicji, przebywał do r. 1819, kiedy to ojciec jego, ziemianin i prawnik sprzedawczy majątek rodzinny, przeniósł się do Warszawy i tam został radcą prawnym w komisji oświecenia czyli w ówczesnym ministerstwie oświaty Królestwa Kongresowego. Wykształcenie, najpierw w domu, potem w liceum warszawskim a wreszcie na wydziale prawnym uniwersytetu (którego nie skończył, bo został na rozkaz W. K. Konstantego relegowany) otrzymał Maurycy bardzo starannie. Obok skłonności do literatury interesował się żywo muzyką, grywał z Chopinem na fortepianie; później, na emigracji we Francji, marzył nawet o karierze artystycznej jako pianista koncertowy. Czytał mnóstwo i był — ukończywszy zaledwie 20 lat życia — najlepszym bodaj w Polsce znawcą współczesnej mu literatury romantycznej i filozofii idealistycznej niemieckiej.

Już jako uczeń liceum bawił się wraz z całą ówczesną młodzieżą patriotyczną w konspirację, a na uniwersytecie wstąpił do tajnej organizacji „Wolnych Braci Polaków”, której przewodzili Piątkiewicz i Wiktor Helman. W r. 1823 organizacja została wykryta i Mochnacki aresztowany, przesiedział 8 miesięcy w b. klasztorze Karmelitów. Przywykł do wygód i ciepła rodzinnego Mochnacki nie wytrzymał samotności w ponurem więzieniu, uległ namowom komisji śledczej i napisał żądany od niego memoriał, potępiający ruch wolnościowy polski i zalecający stosowanie wobec niego represji administracyjnych... To nieszczęśliwe „pismo karmelickie” zacieżyło straszliwie na całym życiu Mochnackiego, gdyż przeciwnicy jego, nie uznając chwilowej słabości 19 letniego młodzieńca, nieraz później przypominali mu ten dokument haniebnym, by utracić najlepsze nawet jego zamiary. W dodatku po opuszczeniu więzienia wstąpił Moch-

nacki — zdaje się za namową matki — na jakiś czas do urzędu cenzury, zostającej pod kierownictwem zniechęconego Szaniawskiego...

WALKA O TRYUMF ROMANTYZMU

Ale straszne to przeżycie zahartowało tylko patriotyzm Mochnackiego, który wyraził się w kilka lat później płomienną broszurą pt. „Głos obywatela”, apelującą do Sądu Sejmowego o uwolnienie b. członków konspiracyjnego Tow. Patriotycznego, oskarżonych o dążenie do wyzwolenia Polski. Przedtem już jednak dał się poznać Mochnacki czytającej publiczności jako współredaktor od r. 1825 (miał wtedy lat 21) „Dziennika Warszawskiego”, w którym zamieścił szereg świetnych krytyk literackich i ta jego insurrekcja literacka zdecydowała o zwycięstwie młodego wówczas w Polsce kierunku, który zaczęto nazywać romantyzmem. Przecistawiając się panującemu wszechwładnie w literaturze polskiej pseudoklasycyzmowi wskazywał Mochnacki (w szkicu „O duchu i źródłach poezji w Polsce”) na nowe, ożywcze prądy w literaturze niemieckiej, głoszone przez braci Schległów, na poezję przeczuciową i duchowej tęsknoty, która wprowadzała u nas Mickiewicz, występował jako rzecznik natchnienia przeciw przewadze rozsądku, zalecał poetom czerpać z mitologii słowiańskiej i z ducha wieków średnich, z „zasad chrześcijaństwa, połączonych z duchem rycerstwa i z uczuciami honoru”. Jego artykuły w „Gazecie Polskiej” i w „Kurjerze Polskim” wywołały ożywioną i nieraz gwałtowną polemikę, która jednak zakończyła się pełnym triumfem nowego kierunku w chwili, gdy Mochnacki wydał słynne swe studjum „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym”. Mochnacki postawił twierdzenie, że jak natura w człowieku, tak „naród jedynie tylko w literaturze ma swoją refleksję”, że literatura jest „uznaniem się narodu w jestestwie swoim”, i że nowoczesny naród polski wyraża się właśnie w twórcach Mickiewicza, Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego. Opinie Mochnackiego w studium tem wyrażone stały się — że czytujemy Chmielowskiego — „na długo ewangelia naszej krytyki; powtarzane w recenzjach i podręcznikach historii literatury przeszły niejako na własność narodową”.

Pracę swą kończył Mochnacki w ostatnich dniach pamiętnego Listopada, a gdy pisał przedmowę, było już po wybuchu „Czas nareszcie przestać pisać o sztuce — wołał w ostatnich zdaniach. Zaimprovizowaliśmy najśliczniejsze poema Narodowego powstania. Życie nasze już jest poezją”. Świtająca „jutrzenka swobody” porwała świetnego krytyka literackiego pod sztandar insurrekcji politycznej.

UDZIAŁ W POWSTANIU LISTOPADOWYM

O roli, jaką odegrał Mochnacki w powstaniu listopadowym, zdania są i będą podzielone. Mochnacki nawet swym wielbicielom z obozu demokratycznego utrudnia zadanie, gdyż niektóre czyny jego w czasie powstania, choć w zasadzie słuszne, były albo nieprzygotowane albo zbyt gwałtowne i przez to nie prowadziły do celu. Brał udział w spisku podchorążych, ale poróżnił się wkrótce z Wysockim i Zaliwskim, w sprawie przyszłego powstańczego rządu. Mochnacki, umysł polityczny i prze-

nikliwy, twierdził, że pierwszy rząd powstańczy winien wyjść z łóki spiskowych, że władzy nie należy zostawiać na bruku, bo mogą ją podjąć ludzie powstaniu niechętni. „Trzeba ją mieć w rękę choćby na to, by ją zdać komu innemu, jeśliby tego wymagały nagłe okoliczności”. Przewodcy spisku uważali się jednak za niepowołanych do piastowania władzy, twierząc, że ich nieznanie nazwiska zaszkodziłoby raczej powstaniu.

Wiadomo, że po 29 listopada władze ujęli istotnie ludzie, którzy chcieli insurrekcję zlikwidować, a na ich czele stał rozumny, ale niepopularny i bez zastrzeżeń stojący na gruncie związku Królestwa z Rosją książę Lubecki, Odnowiona za poradą Lubeckiego Rada Administracyjna występowała dalej jako rząd i układała się z W. K. Konstantym. Mochnacki wypowiedział więc Lubeckiemu walkę. Utworzył zbrojny klub rewolucyjny pod nazwą Tow. Patriotycznego, zorganizował tłumne delegacje, które żądały rozwiązania się Rady, utworzenia rządu i uderzenia na wojska W. Ks. Konstantego. Cel osiągnął. Pod naporem klubu powstał Rząd Tymczasowy i to bez Lubeckiego. Mochnacki był u szczytu popularności. Miał za sobą lud Warszawy. Ale jego kampania przeciw naczelnemu wodzowi Chłopickiemu, nieprzygotowana i zbyt gwałtowna wywołała w klubie oburzenie. Gdy Mochnacki zawołał: „Chłopicki zdradza rewolucję”, sala zatrzęsała się od oburzenia. Mochnacki z trudem uniknął śmierci. Chłopicki był wówczas bożyszczem i nadzieją narodu. A jednak Mochnacki trafnie odgadł przyszłego dyktatora. Przeczucił, że Chłopicki nie chce wojny, ale układów z carem.

Zrozpaczony, próbuje Mochnacki dokonać przy pomocy podchorążych zamachu na Lubeckiego, w którym słusznie widzi głównego wroga swych planów. Zamach się nie udaje i Mochnacki musi — o ironjo! — chronić się w pałacu swego przeciwnika przed samostadem tłumem...

Gdy Chłopicki zawiódł nadzieje powstania, odzyskał i Mochnacki w swym klubie część swojej dawnej popularności. Przeprowadza w nim uchwalenie petycji o detronizację Mikołaja i równocześnie atakuje zjadliwie i ostro w „Nowej Polsce” rząd i sejm za brak ducha rewolucyjnego, niechęć do przeprowadzenia „rewolucji socjalnej” (przez co rozumiał tylko uwłaszczenie włościan) i za oglądanie się na pomoc gabinetów zamiast apelowania do sympatii ludów. Z powodu tych ataków Tow. Patriotyczne wymyka się z pod jego wpływu. Tymczasem armia Dąbicza wkracza do kraju. Mochnacki odrzuca pióro i chwytą za karabin. Nie przyjmie stopnia oficera i wstępuje do pierwszego pułku strzelców pieszych, jako szeregowiec. W obozie pisze ostatni swój artykuł zalecający zmianę powstania w rewolucję socjalną, powołanie mas chłopskich, wkroczenie na Litwę... Potępia taktykę obronną, „Chcemy zwyciężyć a więc zaczepnie działajmy — trzeba”.

Połowa lutego 1831 Mochnacki i jego brat Kamil są ranni pod Wawrem. Biegnie potem Maurycy pod Liwem, Nadborowem, Ostrołką, skąd okryty ranami przywieziony zostaje do Warszawy. I w wojsku marzy o silnej władzy rewolucyjnej, namawia Skrzynieckiego do rozpedzenia Sejmu i objęcia

dyktatury. Później wraz z gorętszymi żywiołami rewolucyjnymi oświadcza się za Krukowieckim, by z nim zerwać, gdy i ten nie myśli o walce, ale o układach. Myśli nawet o zamachu na Krukowieckiego... Przychodzi zdobycie Woli. Anarchja w stolicy. Mochnacki uwięziony na kilka godzin przez gen. Chrzanowskiego. Potem odmarsz ku granicy pruskiej. Jeszcze w Zakroczymiu pisze Maurycy w „Gaz. Narodowej” artykuły zapalające do dalszej walki do połączenia z korpusem Ramorina, błaga, i zaklina — nadaremnie. Powstanie skończone. Obaj Mochnackcy z rozpaczą w sercu opuszczają kraj, by doń już nigdy nie wrócić.

NA EMIGRACJI

Jeszcze trzy lata zmagani, nędzy, sporów emigracyjnych pisanie broszur i artykułów we Francji. Brat Kamil umiera na suchoty w 1833 r., tensam los czeka rok później Maurycyego. Dawny rewolucjonista modyfikuje teraz znacznie swe poglądy. Zbliża się do Czartoryskiego staje się zwolennikiem absolutyzmu, żałuje, że Sejm powstańczy nie ogłosił Czartoryskiego królem. „Kościuszkę z głową Cromwella” jest jego ideałem. Zaleca emigracji nie liczyć na niczyje obce siły, a tylko na siebie i na kraj.

Powstaje w tych latach najlepsze jego dzieło, niedokończone niestety: „Powstanie Narodu Polskiego”, dwutomowa historia listopadowej insurrekcji. Książka napisana pod świeżym wrażeniem wypadków, ma charakter polemiczny i krytyczny, ale — mówi o niem historyk — „napisaną jest z takim ogniem i plastyką że do dziś dnia stanowi jedyne w swoim rodzaju dzieło w naszej literaturze historycznej. Posiadał Mochnacki przedziwny talent wydobywania z ludzi i rzeczy głębi dramatycznej, umiał odtwarzać wypadki tak jak je sam przeżywał, a więc w rozmiarach niemal gigantycznych. Sady, które głosił, zaczęły nad pokoleniem”. Dzieło mowy, i nie zawsze jest obiektywnym, brak mu perspektywy układ jego jest dysproporcjonalny. Wywarło ono jednak na współczesnych i wywiera jeszcze dotąd na czytelnika ogromne wrażenie. Stało się jakby manifestem rewolucyjnym dla następnego pokolenia. Na niem wychowywali się twórcy powstania styczniowego.

Zmarł Mochnacki 20 grudnia 1834 w Auxerre na zapalenie mózgu. Do śmierci towarzyszył mu hałas polemik i oskarżeń, podnoszony przez wszystkie niemal stronnictwa, a zwłaszcza przez obóz demokratyczno-rewolucyjny, który go uważał za odstępcę.

Mochnackiemu utrudniał działalność polityczną jego charakter despotyczny i nierówny, jego porywczność i gwałtowność, oraz brak ciągłości w pracy. Był jednak Mochnacki oddany w całości sprawie powstania a jako pisarz rzucał genialne myśli i przed pokoleniem mu współczesnym otwierał nowe horyzonty. Polemiki, które prowadził i wywoływał, zniekształciły jego portret duchowy w oczach potomnych, pora teraz, w setną rocznicę jego śmierci przywrócić mu rysy prawdziwe. Jest to obowiązkiem polskiej nauki.

Na wyspie św. Heleny

Kult Napoleona nie wygasa. I owszem raczej przybiera ustawicznie na intensywności, wnioskując z tej niezliczonej ilości studjów biografij i dzieł poświęconych osobie „małego kaprała“ A w świeżej pamięci mamy niestety chęć zainteresowanie, jakie wywołała w całym świecie wiadomość o odkryciu nieznanych dotąd historykom listów Napoleona do Marii Luizy.

Jednym z wyrazów tej pamięci i miłości, jaką społeczeństwo francuskie darzy postać Napoleona, było uroczyste otwarcie na wyspie św. Heleny muzeum napoleońskiego do czego inicjatywa wyszła od towarzystwa „Les Amis de St. Hélène“.

Otwarcie tego, muzeum nastąpiło 5 maja 1934 w stotrzynastą rocznicę śmierci Napoleona, — a fakt ten przypominał ponownie światu tę, rzuconą w pustkowiach oceanu wysepkę, tak drobną na mapie kuli ziemskiej, a tak wielką na kartach historii.

Prawdziwym rajem na ziemi nazywają tę wyspę Anglicy. Jest w tem dużo przesady. Św. Helena ma klimat tropikalny, a powietrze przesycone wilgocią. Zwłaszcza przykro we znaki dają się gwałtowne wichry i mgła. W sumie — klimat znośny dla Europejczyka. — o ile jest przeciętnym, zdrowym człowiekiem — ale nie Napoleonem i nie więźniem.

Lekarz irlandzki O'Meara, który przez pierwsze dwa lata opiekował się Napoleonem, oświadczył po jego śmierci: „Jeżeli co mnie dziwi, to właśnie fakt, że zdołał on przez tak długi przeciąg czasu opierać się chorobie, robiącej ustawicznie postępy“.

Ze stolicy wyspy, Jamestown, wędzie dziś do Longwood wygodna droga, dostępna dla samochodów, wijąca się serpentynami wśród morza zieleności: palmy, rozłożyste pinie, smukłe aloesy, pokraczne kaktusy przypominają, że jesteśmy w pobliżu równika.

Jedyna to droga, nosząca nazwę drogi Napoleona. Tą samą drogą jechał 18 października Napoleon w towarzystwie admirała Cockburna, by obejrzeć swą przyszłą rezydencję w Longwood, do której przeniósł się 10 grudnia, — a którą to drogą wracał do ojczyzny w trumnie dnia 15 października 1840...

Istnieje obok tego jednak i druga jeszcze droga, dostępna tylko dla pieszych, a stanowiąca unikat w swoim rodzaju. Jest to tzw. „Ladder Hill“, olbrzymie schody wiodące z Jamestown do znajdującego się na szczycie skały fortu.

Schody, liczące 699 stopni, wykutych w skałę, o ogólnej wysokości 280 metrów. Dzisiaj schody te nie są już prawie zupełnie używane, chyba przez dzieci, lubiące się tam bawić.

W drodze do Longwood mijamy niski parterowy budynek: to „Alarm House“, gdzie stałe trzymała straż kompania żołnierzy angielskich. Opodal stara zardzewiała armata, której strzał miał alarmować całą załogę na wypadek usiłowanej ucieczki więźnia. A pilnowano go starannie: gęste placówki rozstawione dookoła, dwa pułki żołnierzy, 500 armat, dwie fregaty, krążące bez przerwy dokoła wyspy!...

Wreszcie Longwood... W środku pięknego, starannie utrzymanego ogrodu, długi budynek, który dzięki późniejszej rekonstrukcji, przybrał zpowrotem pierwotny kształt krzyża. Po pięciu stopniach wchodzimy przez werandę do salonów. Pierwszy, to salon — poczekalnia, gdzie zwykle przebywali Montholon i Gourgaud, kiedy żyli w służbie. W głębi drzwi do drugiego większego salonu.

Tam przyjmował Napoleon, tam udzielał audiencji, — tam też umarł. W miejscu, gdzie stało jego łóżko polowe zpod Austerlitz, między dwoma oknami, — prześliczny alabastrowy biust Napoleona, dzieło rzeźbiarza francuskiego Chaudet'a.

A dalej idą: pokój jadalny, ciemny i ponury, gabinet cesarza (bez kominka) i jego sypialnia, długości 4 mtr., szerokości 3 mtr., a wysoka na 2 i pół mtr.

Na kominku portret Marii Luizy, Józefiny, popiersie „króla rzymskiego“, miniatura matki cesarza — i budzik Wielkiego Fryderyka, zabrany w Poczdamie.

Na ścianie — szpada zwycięscy zpod Austerlitz...

Poza sypialnią łazienka i pokój służbowy, gdzie sypiał Marchand i Ali, kiedy na którego z nich przypadała służba.

Muzeum wzbogaciło się historycznymi meblami, które rząd angielski z całą gotowością oddał na ten cel do

dyspozycji, — oraz cennymi pamiątkami, ofiarowanymi przez licznych wielbicieli Napoleona przedewszystkiem przez Amerykanina Pardee i jego żonę.

W odległości 2 i pół kilometrów od Longwood, na małej polanie, gdzie tylko kilkanaście drzew trzyma milcząca straż, bieleje ogromna marmurowa płyta. Naga, bez jakiegokolwiek napisu, otoczona żelazną balustradą... „The Tomb“, jak mówią krótko krajowcy. Grób Napoleona! Pod tą płytą spoczywały przez dziewiętnaście lat śmiertelne szczątki człowieka, który zmienił historję całego świata. Aż wreszcie Francja uniosła je, do siebie, by umieścić je pod złotą kopułą Inwalidów. I tak wypełniła się ostatnia wola Napoleona: „Pragnę spocząć na wieki nad brzegami Sekwany, wśród tego narodu francuskiego, który tak ukochałem“.

(kr.)

93-cia prowincja włoska

Dzień 18 grudnia 1934, zapisał się złotymi zgłoskami w historii współczesnych Włoch: tego dnia Mussolini, wśród entuzjastycznych okrzyków blisko stutysięcznego tłumu, proklamował z balkonu pałacu rządowego w Littorii powstanie nowej, 93-ciej prowincji włoskiej, Littoria.

Było to uwieńczenie podjętej przed paru laty gigantycznej pracy osuszenia tzw. „Agro Pontino“, słynnych bagien pontyńskich, niezdalnych do jakiegokolwiek uprawy, siedliska zabójczej malarji.

Praca ta szła w tempie naprawdę zdumiewającym.

Dnia 5 listopada 1931 następuje przewłaszczenie olbrzymich obszarów na rzecz Opera Nazionale Combattenti. Przybywają pierwsi koloniści, przeważnie inwalidzi Wielkiej Wojny.

W rok później, 18 grudnia 1932 — położenie kamienia węgielnego pod budowę pierwszego miasta, Littoria (obecnie stolicy nowej prowincji).

W kwietniu 1934, założenie drugiego miasta, Sabaudia.

A obecnie, 19 grudnia 1934, położono kamień węgielny pod trzecie z kolei miasto Pontinia.

W tym okresie czasu przeprowadzono meljoracje i oddano do użytku

77 tysięcy hektarów ziemi, zbudowano przeszło dwa tysiące domów dla kolonistów, 1400 km. kanałów i 500 km. dróg bitych.

Ogólne koszty tych meljoracji i inwestycji wyrażają się cyfrą 750 milionów lirów, w czem koszty robocizny wynoszą zgórá 150 milionów.

Nowo utworzona prowincja Littoria obejmuje 26 gmin — z czego jedenaście nowopowstałych na terenach „Agro Pontino“, a piętnaście przyłączonych z prowincji rzymskiej.

Otoczona od północnego wschodu łańcuchami górskimi Monti Lepini, Monti Ausoni i Monti Aurunci, opada łagodnie ku morzu Tyrreńskiemu. Na jej terenie leżą miasta portowe Gaeta i Terracina — oraz małe miasteczko San Felice Circeo, tułące się do stóp Monte Circeo, owianej urokiem odwiecznych legend.

Ludność nowej prowincji liczy obecnie 215 tysięcy głów, — w czem ponad sześćdziesiąt tysięcy kolonistów. Liczba ludności powiększa się jednak ustawicznie, gdyż wyczerpana praca wre w dalszym ciągu i dużo jeszcze pozostaje do zrobienia.

Jeszcze w bieżącym roku, 27 października, ma być położony kamień węgielny pod budowę czwartego zrzędu

miasta, Ausonia, — a w rok później powstanie piąte, Aprilia.

Wszystkie miasta zbudowane zostały w stylu nowoczesnym. Budynki reprezentacyjne, ratusz, szkoła, sąd, poczta, odznaczają się szlachetną prostotą linii. Mieszkania kolonistów, to przeważnie parterowe lub jednopiętrowe budynki, obliczone na pomieszczenie jednej rodziny. Obok domu ogród i zabudowania gospodarskie.

Ten sam system stosowany będzie i przy budowie Pontinii. Będzie to miasteczko niewielkie, z ludnością przeważnie rolniczą.

Jedyną jego ozdobą będzie kościół zbudowany systemem żelbetonowym według projektu najlepszych architektów włoskich, oraz okazały gmach ratusza.

Zbytecznym jest dodawać, że koloniści korzystają z wszelkich możliwych ułatwień: prócz gruntu otrzymują potrzebne sprzęty rolnicze i narzędzia gospodarskie, ziarno na zasiew, maszyny, nawozy sztuczne itp. Wszystko to jednak we formie pożyczki, solacjalnej wyprodukowanym zbożem. W ten sposób zachęca się ich do pracy, — zdobywając zarazem coraz cowniejsze tereny dla kultury rolniczej, zapewniając im egzystencję i zwalczając równocześnie klęskę bezrobocia.

(kr.)

Co to jest „akupunktura“?

W ostatnich latach dużo się mówi i pisze o nowym systemie leczniczym, nazwanym „akupunkturą“. Zajmują się tą metodą leczenia lekarze na obu półkuliach, wprowadzają w niej rozmaite modyfikacje i ulepszenia, — jednym słowem „akupunktura“, w tej czy innej formie, zdobywa sobie prawo obywatelstwa w nowoczesnej terapii, do której przez długi czas nie miała dostępu.

Nie jest to jednak coś zupełnie nowego. Wręcz przeciwnie: najstarszy to chyba i najdawniejszy system terapeuty, stosowany niemal od niepamiętnych czasów w Chinach, — a obecnie przeniesiony na grunt europejski.

Na czem polega ta osobliwa kuracja? Oto jej streszczenie, na podstawie książki chińskiej „Su-Wenn“, stanowiącej pewnego rodzaju podręcznik fizjologii i terapii:

Każda choroba jest następstwem zaburzeń funkcjonalnych w jakimś organie wewnętrznym. Zaburzenia te objawiają się zmniejszeniem lub zwiększeniem wy-

dzielania danego organu. Jednym słowem: organ ten niespełnia swej pracy, lub spełnia ją źle, niedbale. Więc trzeba go pobudzić do roboty, — podobnie jak pobudza się leniwego woła przez uklucie. Czyli: jedno lub więcej nakłuć w odpowiednim miejscu ciała ludzkiego może nie tylko złagodzić, ale nawet i usunąć istniejące cierpienie.

Cała sztuka w tem, gdzie należy to uklucie zaaplikować. Otóż na podstawie długich a baczących obserwacji Chińczycy ustalili, że ból wywołany przez ucisk w pewnych punktach ciała powoduje zaburzenie normalnych funkcji takiego czy innego organu. Idąc tą drogą, wyznaczyli na powierzchni ciała ludzkiego ogółem 388 punktów, od stopy aż do kończyny palców, a przez odpowiednie połączenie tych punktów między sobą i z linią centralną, biegnącą wzdłuż kręgosłupa, — podzielili całą powierzchnię ciała ludzkiego na szereg pól i odcinków, z których każdy odpowiada pewnemu narządowi wewnętrznemu.

Terapia sama polega na tem, że w

odpowiednie miejsce wbija się igłę, nาดając jej następni ruch rotacyjny i pozostawiając ją na miejscu przez dłuższy lub krótszy czas, zależnie od rodzaju cierpienia i zamierzonego skutku. Całą technikę „akupunktury“ regulują specjalne podręczniki, w których podano nawet kierunek, w jakim — zależnie od choroby i jej objawów — igłę należy obracać.

Jakkolwiek dziwnie przedstawia się podobna operacja na pierwszy rzut oka, to jednak doświadczenie uczy że, nie jest ona pozbawiona podstaw naukowych. Niejednokrotnie stwierdzono, że podrażnienie pewnego miejsca na skórze (czyto zapomocą uklucia, czy ucisku, czy prądu elektrycznego itp.) wywołuje skurcz lub rozszerzenie żołądka, tętnic, powoduje żywszą czynność wydzielczą jakiegoś organu, obniża lub zwiększa ciśnienie krwi.

Co więcej, przy zastosowaniu „akupunktury“ można usunąć bóleści lokalne, a nawet zaburzenia funkcjonalne roz-

matych organów lub gruczołów wydzielczych.

Doświadczenia kontrolne przeprowadzone ostatnio w Ameryce, we Włoszech i Francji dowiodły, że i na tem polu — jak na tylu innych przyszło do nas „ex Oriente lux“. Ze nasza dzisiejsza wiedza i nauka — czerpać może z księgi mądrości Chińczyków, którzy stosowali ten system leczniczy, noszący u nich nazwę „Cza-czen“ jeszcze w czasach historycznych — i do dziś go nie zrzucili.

Najdawniejsze wzmianki o nim znajdujemy w jednym z najstarszych znanych nam dzieł chińskich „Nei-Tsing“, gdzie jest mowa o wyższości igieł metalowych nad używanymi poprzednio igłami kamiennymi. Autorstwo tego dzieła przypisywane jest lekarzom nadwornym

cesarza Hoang - Ti, zmarłego w roku 2597 przed Chrystusem!

Przez długi czas medycyna odnosiła się do tego rodzaju terapii bardzo sceptycznie. Po raz pierwszy próbował szczególnie na tem polu lekarz holenderski Ten-Rhynn, w wieku siedmiastym, — jednak bez powodzenia. Nie lepiej wypadły też i następne próby z początkiem XIX wieku, podejmowane przez Cloquet'a, a później przez Dabry'ego.

Dopiero w ostatnich czasach lekarz amerykański ze San Francisko, dr. Abrams, zwrócił ponownie uwagę na ten stary zabieg leczniczy, któremu nadał nazwę „spondyloterapii“. Jest to pewnego rodzaju połączenie klasycznej chińskiej akupunktury z metodami nowoczesnych „ródźkarzy“. Miejsce igieł zajmuje nacisk, wypuk i działanie prądami

elektrycznymi.

Doświadczenia dr. Abramsa zainteresowały żywo świat lekarski. Prymitywna metoda Chińczyków uległa ulepszeniu i zmodernizowaniu; konstruuje się specjalnie czułe aparaty, które posuwane wzdłuż stosa pacierzowego, pozwalają dokładnie umiejscowić ból występujący przy mniejszym lub większym nacisku. I zgodnie z szematycznym podziałem całego ciała ludzkiego — jak to czynili od wieków Chińczycy! — można zupełnie dokładnie określić, że ból ten wywołany został przez nieprawidłowe funkcjonowanie jakiegoś organu.

Zdaniem wybitnych fizjologów i internistów „akupunktura“ jako środek terapeutyczny rokuje dużą przyszłość: zdolna jest ona w wielu wypadkach nie tylko uśmierzyć ból, ale spowodować nawet kompletne wyleczenie. (k. r.)

zimięra nad Wisłą. Dalszą drogę do Lublina odbyło wino wozami. Koszta transportu jednej beczki z N. Sącza do Lublina (bez ceł i opłat) wynosiły 1,67 złote, gdy Tymowski wysyłał wino furami koszta przewozu 1 beczki do Warszawy wynosiły 9 zł. Mimo różnicy w odległości widać jasno że transport wodą był jednakże znacznie tańszy.

Splaw towarów nie zawsze odbywał się bez przygód. W r. 1619 wysłał Tymowski 7 beczek starego wina a jego spółnik Tomuś Pytlakiewicz 12 beczek. W sobotę przed św. Filipem puścili się ku Lublinowi. Pod Zakliczynem wyjechał plet na jaz, jedna beczka wina rozbiła się, a dwie popłynęły z wodą. Szczęście, że jazownik dopomógł suszyć plet, a rybak utopił płynące beczki tuż pod młynem, dokąd je woda niosła.

Prócz wina przychodziła jeszcze z Węgier miedź. Np. w r. 1616 kazał Tymowski splawić z Lewoczy Marczała splawnikowi sądeckiemu miedź w sparnach (atabach) i blachacz, którą na św. Miłkołaja dostawił do Lublina. W transportach prócz wina i miedzi wysyłał Tymowski suszone śliwki (które idą aż do Gdańska) a z innych źródeł wiemy, że Dunajec odgrywał ważną rolę w splawie produktów rolnych (szczególnie zboża).

Obecnie wartość splawna Dunajca i Popradu bardzo upadła. Jedynie od czasu do czasu na fali ukazuje się kilka tratw, któremi splawia się z gór drzewo. Tratwy te dojeżdżają zwykle do Żyłcic koło Tarnowa, rzadko zdarza się, byjechały dalej.

W charakterze flisaków płyną najczęściej Rusini ze Szlachtowej, Czarniej Wody i Wierchomli.

R. Reinfuss, Gorlice.

Jeden kościół dla dwu obrządków

Miasteczko Sulzbach w Bawarii posiada jedyny w swoim rodzaju kościół w którym odbywają się naprzemian nabożeństwa katolickie i ewangelickie.

Główny ołtarz przeznaczony jest dla obrządku katolickiego; natomiast w środku kościoła znajduje się drugi mniejszy ołtarz dla obrządku protestanckiego. Ołtarz ten, dzięki specjalnej maszynierji, może być dowolnie podnoszony lub opuszczony poniżej poziomu posadzki.

Dwojakie te nabożeństwa odprawia się w Sulzbach już od roku 1507 po dzień dzisiejszy.

Traduttore — traditore

Tłumaczenia powieści angielskich nie należą z reguły do arcydzieł stylu. Dotyczy to w równej mierze tłumaczeń na język polski, jak i na inne języki europejskie.

Tak oto ostatnio pojawiło się w Paryżu tłumaczenie ciekawej powieści angielskiej, w której między innymi znajduje się następujące zdanie:

„Oblicze zmarłego było białe i skostniałe... przypominało marmury Elgina“.

Autor miał tu na myśli fragmenty marmurów greckich wywiezione do Anglii przez lorda Elgina, a znajdujące się w British Museum.

Tłumacz francuski był bardziej skrupulatny: pisząc o „marmurach Elgina“ dodaje wyjaśnienie:

„Elgin, miasto w Szkocji, słynne ze swych kopalń marmuru“.

Dunajec jako rzeka splawna dawniej i dziś

Dawniej, gdy głównym środkiem komunikacji handlowej na obszarze olbrzymiego państwa polskiego była ciężka kolasa zaprzężona w parę silnych koni, tocząca się leniwie po wyboistych a często karkołomnych drogach, siła konieczności starano się wykorzystać dogodnie drogi wodne.

Usuwały one wiele niedogodności związanych z konnym transportem i były tańsze.

Królowie rozumiejąc znaczenie komunikacji wodnej, otaczali rzekę swą opieką i od czasu do czasu nakazywali wykonanie niezbędnych robót, zmierzających do udogodnienia splawu.

W r. 1447 Kazimierz Jagiellończyk „chcąc wyprzątnąć zie nadużycia i przeszkody, tamujące dobro pospolite, a zważając, że rzeki Wisła, Dniepr, Styr, Narew, Warta, DUNAJEC, Wisłoka, Bug, Wieprz, Tyśmienica, San, Nida, Proсна i inne rzeki bądź chociaż są nasze królewskie i nikt do nich nie może rościć prawa, zostały jednak wielu gaciami¹⁾ zatamowane dla splawiających towary kupców przeto stanowiąmy ażeby te pod karą i pod niezwłocznym wymierzeniem sprawiedliwości skrzywdzonym bywały wolne dla wszelkich kupców, tak w górę jako i w dół płynących“²⁾

Z przytoczonego cytatu widzimy, że dawniej więcej rzek używano do splawu jak obecnie.

Przyczyną tego jest przede wszystkim kolej, która podkopała mniej dogodne drogi wodne, oraz znaczne ich obniżenie stanu wody na rzekach. (Dziś np. Wisłoka zupełnie się do splawu nie nadaje).

Jedną z rzek, które w obecnych czasach straciły znaczenie dróg wodnych jest Dunajec ze swym dopływem Popradem.

Niegdyś była to pierwszorzędna arterja komunikacyjna łącząca, ze sobą ludne i ważne miasta jak np. St. Sącz, Nowy Sącz, Czchów, Zakliczyn, Wojnicz. Bezpieczeństwa splawu broniły zamki królewskie w Rytrze i Czchowie, oraz załogi w prywatnych rezydencjach magnackich jak Rożnów i Melsztyn.

Najwcześniejsze wzmianki o splawianiu towarów Dunajcem znajdujemy już u Długosza.

Pisze on mianowicie o stymnych darach, które starosta sądecki Wydźga wysyłał około r. 1250 ze swych dóbr położonych w okolicach Łacka i Czor-

szyna, dla zakonu krzyżackiego, głodującego skutkiem nieurodzajów.

Posłał wtedy Wydźga kilka sztuk wyładowanych zbożem, miodem i t.p. a nawet złotem, które podobno wydobywał koło Łacka. Podróż Dunajcem w owych czasach nie należała do najbezpieczniejszych. We wsi Tropiu, kilka kilometrów od czchowskiej strażnicy wybudowali raubritterzy niemieccy na skale nad brzegiem rzeki obronny zameczek, z którego napastowali przejeżdżających kupców³⁾.

Według podania dopiero dziedzice sąsiedniego Rożnowa położyli kres złu. Zrobili zbrojną wyprawę na Tropie zdobyli i zburzyli zameczek a rabusiów przepędzili.

W późniejszych wiekach znaczenie Dunajca wzrosło jeszcze bardziej, gdyż

nawiązały się ożywione stosunki handlowe z Węgrami.

Z Węgier sprowadzano głównie wino, które szło do Polski przeważnie przez przełęcz Dukielską drogą na Biecz lub przełęczą Popradu na Stary i Nowy Sącz. W tym drugim wypadku posługiwano się często komunikacją wodną. Wino dostawiano, na Węgrzech nad brzeg Popradu i następnie wodą splawiano do Sącza, skąd szło dalej (również drogą wodną) do Warszawy, Lublina i in.

Ciekawe szczegóły tego handlu znajdujemy w diariuszu kupca nowosądeckiego Jerzego Tymowskiego⁴⁾. W r. 1610 kupił on u p. Deżeffiego Janusza na Węgrzech 24 beczki wina, które dostawiono wozami nad Poprad, skąd odstawiono je do N. Sącza i dalej do Ka-

⁴⁾ Przedrukował ks. Sygański w „Analektach sądeckich“.

³⁾ Morawski Sądeczyzna.

Epigramy z różnych języków

Kobieta.

O trzy całusy z mężem zakłada się Ewa:
Bóg nie dojrzy, że jedno jabłko znikło
z drzewa.
Przegrała, nie chce płacić — wzięła złość
Adama,
Skradł całusa. Dwa dalsze zapłaciła sama.
(Z średniowiecznej łaciny).

Wotum.

Podstarzała i aida Wenerze
Zwierciadło składa w ofierze.
Niechaj wisi już u jej ołtarzy —
Ja nie chcę widzieć swej twarzy.
(Z Auzonjusza).

Spryciarz.

Wojtka gryzły pchły, lecz był morowy
I po rozum poszedł wnet do głowy:
Zgasił światło — pomysł doskonały:
Już nie będą teraz go widziały.
(Z średniowiecznej łaciny).

Niezawodne lekarstwo

Przeciw miłości dobrym środkiem post,
Również i czas cudowny bywa wprost.
Gdy cię zawiodą, głowę bij o mur:
Ostatni lek ci pozostaje — sznur.
(Z średniowiecznej łaciny).

Westchnienie.

Zwę się Maciej, iat liczę coś kopę
niestety,
Nigdy się nie zbliżyłem w życiu do ko-
biety.
Całe swe skromne mienie chętnie dałbym
za to,
żeby tak był o sobie mówić mógł mój
tato.
(Z francuskiego).

Na pomoc.

Ach, doktorze, okropny ambaras!
Pan Jan chyba już się nie podźwignie —
Strasznie chory i woła w malignie,
Że chce umrzeć. — Dobrze, idę zaraz.
(Z francuskiego. Pierre Capelle).

Jednakowa miara.

rzekasz się miłości, okrutna Kallisto,

A Boga prześladujesz modlitwą
wieczystą?
To na nic, miłosierdzia ty nie znajdziesz
w niebie,
Jaką ty jesteś dla mnie, Bóg będzie dla
ciebie.
(Z francuskiego. Mal'sherbe).

Miłość i zazdrość.

Raz w upojeniu tonie, raz jest w koło
wplatan
Kochanek, nieb i piekła otwarta dlań
brama.
Miłość i zazdrość matka zrodziła ta sama.
Tak, jak anioł — bratem jest przecie
i szatan.
(Z francuskiego — De Boufflers).

Trucizna.

Tu leży nasza miła i pocziwa Ziuta.
Ukąsiła się w język i zmarła ofruta.
(Z francuskiego).

Pogrzeb.

Z pompą chował tego męża stanu
Wśród szyderstw i obmowy jego klanu.
Jam jeden trumnę zrosił łzą przelaną —
Byłbym się uśmiał, gdyby go wieszano.
(Z angielskiego — Hilaire Belloc).

Odwieczna gra.

Zwodząc chłopca, dziewczyna siebie
samą mami
Nadzieją, co wnet lękiem staje się
i trwogą,
Albowiem wzniecać zwykła swemi
uśmiechami
Pożar, którego lzy jej zgasić nie mogą.
(Z angielskiego — Collin Ellis).

W restauracji.

Mysz w gulaszu znalazł pan Kapellner,
Ale spojrzął nań surowo kelner:
„Pan to wirzuc, pan tu nie bądź smakosz,
Bo mi każdy powie: Ja chcę takoz“.
Więc mysz przedko rzucił pan Kapellner.
(Z angielskiego).

Wolno przełożył A. J.

¹⁾ Krzaki, języ plecione

²⁾ Surowiecki, O upadku prz. myślał miast w Polsce 1810.

Z angielskich nowości wydawniczych

CARLYLE JAKO STARZEC.

Na olbrzymią skalę zakrojona była monografia o Tomaszu Carlyle'u Dawida Alec Wilsona. Autor poświęcił jej życie, ale nie wystarczyło mu życia, ogłosił tylko pięć olbrzymich tomów. Pozostałymi materiałami zajął się siostrzeniec zmarłego D. Wilson Mac Arthur i trzeba przyznać, że stanął na wysokości zadania. Gdyby nie wiedziało się pozytywnie, że ostatnią częścią dzieła, zatytułowaną „Carlyle w starości” (Carlyle in Old Age Londyn Kegan Paul), pisał kto inny, niktby nie zauważył różnicy z poprzednimi częściami.

Mac Arthur zaczyna tam, gdzie skończył Wilson, przedstawiając życie Carlyle'a od r. 1865 — jak wiadomo, historyk umarł w r. 1881, licząc lat 86.

Po wyjściu tego tomu można już o mówić całość. Weszły do niej wszelkie dostępne materiały biograficzne. W ocenę dzieł i charakteru Carlyle'a autorzy zapuszczają się niechętnie, natomiast starannie zebrał to, co na ten temat powiedziano i ułożone jest wyborny.

Z opinii, przytoczonych w monografii, warto wybrać parę najtrafniejszych. Znany współczesny uczyony Dr. Jowett nazwał Carlyle'a Rembrandtem prozy angielskiej — naturalnie ze względu na ustawiczne kontrastowanie światła i cieniów. Natomiast wyraził się dość lekceważąco o jego filozoficznych i historjoficznych poglądach. Według Jowetta siła ekspresji u Carlyle'a przewyższała jego rzeczywistą inteligencję i stale rozstrzygała o jego przekonaniach. Amerykański myśliciel Emerson określił go jako chorego olbrzymia. Sam Mac Arthur zwraca uwagę na niekonsekwencje Carlyle'a w stosunku do religii. Oburzał się on na „mity” chrześcijaństwa, to znów wyślawiał je jako głębokie symbole.

LISTY GALSWORTHY'EGO

Przyjaciel twórcy „Sagi o Forsyte'ach” Edward Garnett wydał przed kilku tygodniami „Listy od Johna Galsworthy'ego z lat 1900—1932” (Letters from John Galsworthy, 1900—1932, Londyn, Cape). Wymieniony w tytule okres czasu odpowiada całej twórczości powieściopisarza. Naturalnie najbardziej interesują tu listy, odnoszące się do niej.

Wiadomo, że w „Posesjonacie”, pierwszej części „Sagi” piękna i szlachetna Irena nabiera wstretu do męża, Soamesa Forsyte'a, i zakochuje się w architekcie Bosinney'u. Ten, budując dla Soamesa dom, przekroczył koszty i Soames wyzyskuje sposobność, wytaczając mu sprawę sądową. Proces nie odbywa się, ponieważ Bosinney ginie, wpadłszy podczas mgły pod auto. Jego nieuwagę motywuje Galsworthy wzburzeniem umysłu po dowiedzeniu się, jak Soames postępuje z Ireną.

Otóż dowiadujemy się, że Garnett interwenjował w obronie Bosinney'a, proponując, ażeby zakończeniem powieści była jego ucieczka z Ireną. Galsworthy kategorycznie odmówił. Proponowane rozwiązanie uznał za banalne i niesmaczne. Zresztą w konflikcie między sterą czcicieli pieniądza i czcicieli piękna pierwszy tj. Forsyte'owie musieli zostać zwyciężeni.

Gdy Galsworthy pisał „Patrycjusza” Garnett zarzucił mu, że przedstawia

życie arystokracji, którego nie zna. Na to otrzymał list z wyliczeniem ni mniej, ni więcej, tylko stu trzydziestu znanych powieściopisarza z tej sfery.

Niektóre listy rzucają światło na pojęcia Galsworthy'ego o sztuce i o własnej twórczości. Uważał się on za artystę, a nie za historyka społeczeństwa. Mówi też: „W powieści niema żadnej psychologii, jest tylko wywołanie wrażeń w umyśle czytelnika”.

HISTORIA ŻYCIA WELLSA PRZEZ NIEGO SAMEGO

Wells zapowiadał, że drugi tom swej autobiografii ogłosi za parę lat. Wiadomo jednak, że posiada wielką łatwość pisania i kończy książki błyskawicznie. Dzięki temu oba tomy wyszły w r. 1934 (H. G. Wells. An Experiment in Autobiography. Londyn, Gollaner i Crenet Press).

Autor liczy obecnie lat 68. Jest zadowolony ze swego życia — i słusznie. Jako syn biednych ludzi żyjących w nieuregulowanych stosunkach, był chłopcem sklepowym, ale dzięki własnym zdolnościom i szczęściu zdołał dostać się do wyższych szkół, zdobył wykształcenie i stanął w szeregu najwybitniejszych literatów swego czasu, ze sławą zaś przyszedł także dobrobyt.

Historja życia Wellsa — taka, jaką poznajemy z jego autobiografii — dowodzi, że w powieściach użył motywów własnego życia i wspomnienia o swej rodzinie. Bardzo ciekawy również jest rysujący się tu jego stosunek do socjalizmu, od którego Wells oddalał się coraz bardziej. Dzisiaj jest liberałem, wrogiem religii objawionej, materialistą i pacyfistą, ale ewangelję Marxa już odrzucił.

REHABILITACJA KAROLA II.

Z zakresu historji zasługuje przede wszystkim na uwzględnienie wydania przez Cyryla Hughes Hartmanna korespondencja Karola II (Charles II and Madame — tj. jego siostra). Stuartowie wogóle, a „wesoly monarcha” w szczególności, byli doniedawna kozłami ofarnymi dziejopisarstwa angielskiego. Oburzano się na jego frankofilską politykę, na sprzedaż Dunkierki, na pensję, jaką brał od Ludwika XIV. Po raz pierwszy drukiem ogłoszone listy dowodzą, że Karol miał daleko głębsze cele, niż uzyskanie bez parlamentu środków na utrzymanie dworu i metres. On pierwszy zrozumiał ważność kolonij dla Anglii. Uznał, że interes jej jako potęg morskiej nie kolidują z interesami Francji jako po-

tegi lądowej. Dążył konsekwentnie do zniszczenia Holandji oraz Hiszpanji i zagarnięcia tyle, ileby się dało z ich zamorskich posiadłości. Że kazał sobie płacić za prowadzenie polityki, którą uważał za najkorzystniejszą dla kraju, to tylko dowód jego zrzeczności. Jest faktem, że w w. XIX polityka angielska zesłała na tory, jakie jej wskazywał.

CZCICIELE JEDYNOWŁADCÓW

Zastanawia obfitość ukazujących się powieści historycznych. Jest to zmartwychwstanie rodzaju, który od początku wieku XX był zarzucony prawie zupełnie. Ukazujące się okazy są zazwyczaj silnie zabarwione tendencją, najczęściej antydemokratyczną. Działają tu niezadowolone ze stosunków i fascynacja, jaką z daleka wywierają dyktatury. F. A. Wright, autor w roku zeszłym wydanego „Aleksandra Wielkiego” woła z emfazą: „Aleksander, Juliusz Cezar, Karol Wielki, Napoleon byli w najprawdziwszym znaczeniu wyrazu dobrońcami ludzkości, a zato, co zrobili i zato, co usiłowali zrobić, cały świat wciąż jeszcze ma wobec nich ważki dług wdzięczności”.

Dzieje rzymskie dostarczają tematów do cyklów powieściowych dwóm pisarzom którzy — rzecz znamienita — wybierają koniec Rzeczypospolitej i początek cesarstwa. Jack Lindsay dał w „Rzymie na sprzedaż” (Rome for Sale, Londyn, Nicholson i Watson) jaskrawy obraz czasów przed drugą wojną domową. Część druga nosi tytuł: „Cezar nie żyje” (Caesar is Dead). Autor idealizuje nie tylko wielkiego Juliusza, ale i Oktawiana (tj. późniejszego Augusta) który będzie bohaterem dalszej powieści. Antoniusz przedstawiony jest jako człowiek lichy i tępy.

Opierając się na badaniach włoskiego historyka Monugliana, Robert Graves, znany już jako poeta, przystąpił do rehabilitacji cesarza Klaudjusza. Urządził przytem eksperyment z zakresu techniki powieściowej, oddając głos samemu bohaterowi. Stąd pierwsza część nosi tytuł „Ja, Klaudjusz” (I, Claudius, Londyn, Barker). Druga, „Klaudjusz bogiem” (Claudius the God) ukazała się niedawno i obejmuje panowanie cesarza, który tu występuje jako rozsądny człowiek i dobry rzadca kraju. Tytuł zawiera pewną ironję, gdyż Klaudjusz właśnie sprzeciwia się, aby mu oddawano cześć boską, jak poprzednikom. Starzejąc się obojętnie zwołna na wszystko, przestaje interesować się i sprawami pań-

stwowemi i własnym bezpieczeństwem. Całość (tj. jeden i drugi tom) obejmuje zgorą 1000 stron druku — i możnaby ją nazwać równocześnie zajmującą i nudną, gdyż pedantyczność, dokładność i spokój należą do charakterystyki opowiadającego, natomiast wypadki, zarówno historyczne, jak zmyślone, są interesujące.

W OBRONIE KATOLIKÓW

Rewizja historji na korzyść rojalistów i katolików odbiła się na twórczości Sheili Kaye - Smith, która pierwotnie przedstawiała w swych regionalnych powieściach życie wiejskie („Joanna Gadden”), często interesując się zmianami, jakie w niem wywołał pochód kultury materialnej, uprzemysłowienie i niezdrowe dla rolnictwa obecne warunki („Upadek rodu Alardów”). Zwróciwszy się do powieści historycznej, kreśli obecnie Sheila Kaye - Smith dzieje Alardów na tle dawniejszych epok. „Zakątek zabobonu” był tragedją katolików, prześladowanych za Elżbiety, najnowszy utwór „Gallybird” (nazwa oznacza rodzaj dzięcioła), wydany u Cassella, jest, jak tamten, powieścią równocześnie historyczną i regionalną, przedstawia stosunki w hrabstwie Sussex po rewolucji r. 1688. Tendencja jest wyraźnie katolicka.

Z POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ

Płodny Hugh Walpole, ukończywszy swą ogromną tetralogję o Herriesach, obejmującą 200 lat obyczajowej historji Anglii, wrócił do powieści współczesnej w „Kapitanie Nicholas” (Captain Nicholas, Londyn, Macmillan). Centralną postacią jest gładki, umięjący zyskiwać sobie ludzi intrygant który zakłóca życie swej rodziny. Główną zaletę, stanowią charakterystyka.

PACYFISTYCZNA PODRÓŻ

Sir Filip Gibbs zebrał swe wrażenia z Paryża, Burgundji, Lyonu, Genewy, północnych Włoch, Tyrolu, południowych Niemiec, Budapesztu, Zagłębia Saary i okolic Verdun w „Europejskiej podróży” (European Journey, Londyn, Heinemann i Gollanez). Książko jest znamienita, gdyż odzwierciedla pogląd przeciętnego Anglika z zakresu polityki zagranicznej. Sir Filip nie sympatyzuje z Hitlerem, ale wzywa, aby za wszelką cenę popierał przyjaźń francusko - niemiecką. Widzi w niej jedyny sposób zachowania pokoju, a idea pacyfizmu towarzyszy mu na każdym kroku podróży. Ma jednak Sir Filip zle przeczucia, dowodem następujący epizod: W Genewie buduje się pałac Ligi Narodów. Autor podchodzi do robotników i pyta jednego z nich: „Co to będzie?” — „Zapewne szpital wojskowy podczas najbliższej wojny”, brzmi odpowiedź.

COS O POLSCE

Dalej na wschód, bo do naszego kraju zawędrował sympatyczny Szkot Moray MacLaren („Wędrowiec w Polsce” — A Wayfarer in Poland, Londyn, Mathieu). Życie polskie podoba mu się, za rysy charakterystyczne uważa dwie rzeczy — skłonność do zabaw, a więc teatru, restauracje, dancingi, boiska sportowe, i postęp (w szczególności podoba mu się Gdynia). Widać, że poznał lepiej tylko parę miast większych.

Władysław Tarnawski



Samotny Krzyż przydrożny przystrojony w dziwną szatę śniegu.

Spuścizna pana Jerzego Szponera, ławnika lwowskiego

Poswięceniem, ofiarą i krwią zdobywał stary Lwów w uchwałach sejmowych zaszczytne tytuły: „ornamentum Regni” czy „antemurale Christianitatis”, zawdzięczając je w pierwszej mierze swym obywatelom - Lwówczykom, którzy sprawili, iż w złotym okresie dziejów miasta ratusz był przybytkiem rozumu i sprawiedliwości, porządku i ładu, że sądy miejskie, szeroko w Rzeczypospolitej, znane z mądrości i uczciwości, że wreszcie słynne były wyroki rajców i ławników ze swej bystrości.

Dobiegały kresu niedługie lata panowania Stefana Batorego, — „który marsowy szyszak zamiast korony nosił, a więcej zwycięstw odniósł, jak lat na tronie przeżył”. Właśnie z tego czasu pochodzi inwentarz i oszacowanie majątku, pozostawionego przez zmarłego w r. 1585 Jerzego Szponera, kupca, patrycjusza lwowskiego, piastującego przez szereg lat zaszczytną godność ławnika w sądzie miejskim. Ze strony władzy miejskiej dokonali oszacowania ruchomego majątku zmarłego ławnika wyznaczeni przez urząd szanowni obywatele: Wojciech Pedianus, dr. filozofii, wójt ławy, Stanisław z Przemyśla, dr. medycyny i Marcin Rottendorf, złotnik, którzy w obecności zaprzysiężonych starszych cechowych przeprowadzili „inventarium i taxam honorum mobilium Georgij olim Sponer”.

Obok licznych kosztowności ze złota, srebra, pereł i drogich kamieni, jakie pozostawił po sobie szanowny ławnik sądu miejskiego, wysuwa się na pierwsze miejsce wśród tych bogactw: książka, ów niewątpliwie najpiękniejszy klejnot w cywilizowanym domu patrycjusza lwowskiego, uważającego za dumę swojego stanu, aby być mecenasem nauki i sztuki, miłośnikiem oświaty. Miał tedy pan ławnik dużą bibliotekę, którą — jak wielu patrycjuszów lwowskich — uważał za sprzęt królewski, — „regia suppellectis”, a książkę za ozdobę swego domu, — „za klejnot uczciwości swojej”. W niewiele lat bowiem po jego śmierci w testamencie swoim z r. 1618 konsul lwowski, dr. Stanisław Dybowski powie owe znamienne słowa o książce: „Ruchome moje dobra różne są, a najprzedniejsze są drogocne klejnoty uczciwości i wokalacji mojej, księgi, na których ja się ucząc, z woli i błogosławieństwa Pańskiego temem był czemem był; dlaczego nie godzi mi się ich ladajako obracać, aby po wendytach nie latały, albo kucharki córek moich na kądzielach ich nie poszarpały, albo kiedy indziej sprośniej obracane nie były.”

Bogata była tedy biblioteka pana ławnika Szponera, a dzieła ją tworzące świadczyły o głębokich zainteresowaniach kulturalnych właściciela, lwowskiego kupca. Z jednej strony tworzyły one strawę duchową dla zbawienia duszy, z drugiej były mu przewodnikami i zarówno w praktykach zawodu, jak i na zawilonych nieraz drogach ówczesnego ustroju, wreszcie służyły rozrywce i nauce. Między nimi obok starożytnych autorów znajdowały się i dzieła pisarzy polskich. Łacińska „Biblia sacra”, biblia polska, Epistolae S. Hieronimi, Psalterium Romanum, Officium B. M. Virginis, Psalterium latinum, Żywoty Świętych obok literatury antyluterańskiej; należą do pierwszych, — obok nich inwentarz wykazuje Zwierciadło Saskie, — Praxis rerum criminalium, Pandecta, Institutiones, Commentarius in iurium... Differentiae iuris civilis et saxonici, Porządek prawny itd. Klasyczny świat reprezentuje Livius, Moralia Plutarcha, Terentius, Vergilius, Bajki Ezopa, Officia Cicerona, Metamorfozy i Fasti Ovidiusa, a z nowożytnych pisarzy „Orationes” i „Epistolae” Muretus'a z Limoges, Pawła Manutius'a: „Epistolae”, a nawet dzieło Piotra Crescenzi

o kulturze rolnej znajduje swe miejsce w bibliotece lwowskiego mieszczanina. Z polskich dzieł zawierała biblioteka kronikę Miechowity Kromera: „De situ Poloniae”, Elegie i Fraszki Kochanowskiego, kronikę Jana Herburtha i Pochodnie Powodowskiego.

A obok tej zasobnej zbrojowni duchowej miał p. Szponer, ławnik lwowski i zbrojownię drugą. W tamtej kształcił i oświecał swą duszę i rozum, w tej hartował ciało i szkolił się do zawodu żołnierskiego, któremu każdy mieszczanin lwowski ze szczególnym oddaniem się upodobał. Wszak potężny gród stał cnotą żołnierską swych obywateli, gdy trwogi wojenne uderzały od wschodnich bram o mury grodu. Wszak wśród barbarzyńskich najazdów, wjących się nieprzerwanym łańcuchem przez dzieje tych ziem od zamierzonych czasów był gród Lwówczyków „semper fidelis”. Baszty i mury grodu sterczały naksztalt rafy skalnej, oblewanej dookoła wzburzonemi falami oceanu, niewzruszenie jako symbol moralnej siły i fizycznej teźyzny. Toteż każdy z Lwówczyków wobec takiego stanu rzeczy animuszem się odznaczał rycerskim i zarówno dobrze parał się mieciem w sklepie, jak szablicą i rusznicą w razie wojennej zawieruchy. Bogato zaopatrzona była zbrojownia p. Szponera. Spisany po jego śmierci inwentarz wymienia rusznicę jedną, w kość oprawną, dwie mniejsze, czwartą „berdebuszkę”, dwa półhaki — „te wszystkie z prochownicami”, kilof z siekierką, trzy sajdaki ze strzałami i łukami, dwie szabły, kuszę z hewarem i drugą do glinianych kul, jarczak usarski, rzadzik na

koniu z kozacką uzdą, zbroję „półkiri-sią ze wszystkimi narzędziami”, parę pozłocistych hakerbuzów i wiele innej broni.

Na ścianach komnat widniały obrazy: dwa „obrazy bez ramów” — jeden „Trium Regum”, a drugi „Chryst Chrystusa” — cztery „w ramiech” przedstawiały cztery pory roku. Na komodzie widniał „zigarek z excitarem” oraz „luthnia”.

O dużej zamożności pana Szponera świadczy dalej regestr spisanych kosztowności: złota, srebra, drogich kamieni, pereł, dalej mnóstwo naczyń z cyny, miedzi i mosiądzu. Ze złota wymienia inwentarz dwa duże łańcuchy złote, liczne pierścienie z perłami rubinami, turkusami i djamentami, wśród nich jeden szczególnie piękny z „wyminerowaną twarzą”, a drugi z „papuszką”, oraz dwa złote sygnety. Osobno spisane zostały różnorodne przedmioty ze srebra, jak obrączki, bardzo liczna srebrna zastawa stołowa, zawierająca nawet srebrne „instrumentum do skrobienia języka”. Do tej grupy należą liczne pasy srebrne. Wśród kosztowności dużą wartość przedstawiały perełki, ujęte albo w osobne „bramcze” albo w czepeczki, z tkaniny złotej i srebrnej, perłami wysadzane.

Wiele mis, konwi, kwart, półmisków i talerzy, flasz, miednic i lichtarzy było tam z metalu — nie zliczyć. Bardzo zasobną była również szatnia p. ławnika. Zawierała bowiem i czarne germaki falunduszowe, futrem „lissim” podszyte, czarne „bekieszki”, szubki o spodzie z wewiórek, adamaszkowe żupany, liczne ubrania, dwa kołpaki aksamitne, piśniowe „cappelusze” itd. Zinwenta-

ryzowano podówczas i „szaty samej paniej”: bogactwo jej garderoby równało się niemal bogactwu jej kosztowności. Mieszczka posiadała i szubeczki tabinowe letniki, mętlki, a na okrycie głowy przepiękne: czepeczki, zdobne w drogie kamienie i perełki. O bieliznie i pościeli nie piszemy, piętrzyły się jej bowiem w komnatach pani Szponerowej całe stopy.

„Gliny” tureckiej było też bardzo wiele: dzbanki i czary — szkło w puzdrach zawierało przesłone flaszki w kilkudziesięciu sztukach.

Piwniczka też była obficie zaopatrzona. Spisano w niej pięć wielkich beczek wina węgierskiego, które „sama pani kupiła u Jakóba Rogatolisa po zł. 38”, wielki antałek wina węgierskiego, a w kufie jednej małmazje. W pasiece 46 uli „nieboszczykowskich” miało przetrwać okres zimowy.

W wozowni spisano karetkę małą, kolaskę starą i wóz „robotni” wraz z wartościową uprzężą.

Tak się w ogólnym zarysie przedstawiała bogata spuścizna po Jerzym Szponerze, ławniku, mieszczaninie lwowskim. Świadczyła o dużej zamożności patrycjusza i o dostatku, jaki panował w murach jego „lapidae”. Wspomniała biblioteka mówiła o wszechstronnym nastawieniu kulturalnym gospodarza, — zbrojownia była wyrazem jego rycerskiego animuszu, kosztowności plonem jego pracy za ladą i w pracowni sklepowej. A rachunki w tej mierze prowadził, jak zresztą i inni, wozowo. Pozostały bowiem w inwentarzu wzmianki o trzech rejestrach „in folio introligowanych, nieboszczykowską reka popisanym”, dwa w czerwonej skórze, a trzeci w skórze białej, a duża szkatułka „z rozmaitem pisanem tak czirographów, jako i czego innego do długów przynależącego” dopełniała wartości kontuaru lwowskiego kupca i mieszczanina. A. M.

Walka ze śpiączką

Państwa kolonialne, mające swe posiadłości w Afryce, prowadzą oddawna systematyczną walkę ze śpiączką, tą straszną plagą, dziesiątkującą tubylców. Prowadzi podobną akcję na wielką skalę Francja, prowadzi ją i Belgja w Kongo, tej swojej kolonii, prawdziwej „perle Afryki”, zapisanej przez króla Leopolda w r. 1908 w testamencie jego krajowi.

O chorobie śpiączki, przenoszonej przez ukąszenie straszliwej muchy „tse-tse” pisało się dużo. Relacje jednak, jakie znamy, pochodzą zawsze z drugiej ręki, nie mogą zatem mieć cechy bezpośredniości. Obecnie dopiero pojawiło się pierwsze oryginalne dzieło na ten temat, tem ciekawsze, że napisane na podstawie autopsji. Jest to „Czarny sen” H. Gordziakowskiego¹⁾.

Autor przebywał w Kongo przez trzy lata jako lekarz, w służbie Tow. akcyjnego „Huilleries du Congo Belge”, delegowany do zwalczania tej strasznej choroby.

Książka jego, pisana we formie wspomnień, pozwala nam zapoznać się dokładnie nie tylko z przebiegiem i poszczególnymi fazami śpiączki, lecz i z niesłychanymi trudnościami, jakie ma do zwalczania biały lekarz wobec nastawienia psychicznego tubylców.

Choroba śpiączka wykazuje trzy okresy. Pierwszy, to ukłucie przez muchę „tse-tse” (*Glossina palpalis*), żyjącą wyłącznie w Afryce środkowej i na wybrzeżach zatoki Gwinejskiej. Jedyny to owad, roznoszący zarazki śpiączki, tzw. „Trypanosoma gambiense” lub „Tr. rhodesiense”.

W miejscu ukłucia występuje mały

swędzący guzek, który po paru dniach znika bez śladu.

Po paru tygodniach występuje drugi etap choroby: nagła gorączka, przyspieszone tętno, oraz charakterystyczny naciek ruczołów szyjnych, w których cieczy znaleźć można prawie zawsze zarazki śpiączki. Dołączają się do tego zazwyczaj zaburzenia wzrokowe, bolesne obrzęki oraz nadwrażliwość nerwowa, będąca prawdziwym utrapieniem dla chorego.

Okres to najniebezpieczniejszy dla otoczenia, gdyż chory staje się wówczas roznosicielem zarazków za pośrednictwem muchy tse-tse.

I wreszcie — okres trzeci, kończący się z reguły śmiercią. Chory dostaje ataków szału, czy znów paraliżu postępowego, lub wreszcie typowej „śpiączki”. Staje się sennym — zasypia popołudniu, wieczorem, śpi coraz dłużej, aż wreszcie popadnie w nieprzerwaną, około dziesięciodniową sen, z którego się już nie obudzi.

Walka ze śpiączką idzie w dwóch kierunkach: przede wszystkim tępienie muchy „tse-tse”, co jednak jest rzeczą niesłychanie trudną w tym, dziewiczym niemal dotychczas, kraju, gdzie owad ten, lubiący ciemne, wilgotne miejsca, ma idealne warunki rozwoju.

Druga rzecz, — to izolowanie zarażonych, niebezpiecznych dla otoczenia, a więc umieszczanie ich w specjalnych szpitalach.

Jest to jednak prawdziwie szaryfowa praca. Trzeba tu przede wszystkim walczyć z ciemnotą murzynów, podsycaną jeszcze zręcznością przez niezliczonych czarowników. Pierwsze objawy śpiączki przechodzą z reguły niespostrzeżenie. — Drobny guzek, swędzenie, to dla murzyna, nie grzeszącego czystością, rzecz bez znaczenia. Tak samo mało zwraca uwagi

na następne stadium choroby, niezbyt jeszcze charakterystyczne.

Istnienie śpiączki stwierdzić może niezbicie tylko lekarz, zapomocą punkcji gruczołów szyjnych i zbadania pod mikroskopem ich zawartości. Chorego trzeba bezwzględnie izolować. Ale on nie chce iść do szpitala, nie wierzy w chorobę, czuje się zdrowym. Utwierdza go w tem przekonaniu miejscowy czarownik, a priori wrogo nastawiony do białych, zazdrosny o swój wpływ i władzę.

Jeżeli jednak — choćby przemocą — chorego przetransportowano do szpitala i tam choroba dalej się rozwija, przechodząc w trzecie, końcowe stadium, — wówczas czarownik zdobywa potężny atut: Oto zabrano ze wsi człowieka zdrowego, a w szpitalu sprowadzono na niego straszną chorobę! Więc wszystkiemu winien... lekarz!

Rozumowanie to trafia do przekonania murzynów, z natury podejrzliwych, nieufnych wobec białych ludzi, a pozostających zupełnie pod wpływem swych czarowników.

Toteż wszelkimi sposobami starają się oni wykreślić od badania lekarskiego, ukrywają swych chorych, a szpitala boją się jak ognia.

W tych warunkach praca lekarza jest niesłychanie trudna i niewdzięczna. Musi ona iść równoległe z podniesieniem ogólnego stanu kultury murzynów, co jednak jest muzyką dalekiej przyszłości. A w ślad za tem musiałyby nastąpić wytepienie instytucji „czarowników”, co również wydaje się rzeczą trudną, jeśli nie niemożliwą do zrealizowania.

Toteż, mimo ofiarnej pracy lekarzy, mimo postępów nauki, „czarny sen” długo jeszcze będzie postrachem środkowej Afryki, a mucha „tse-tse” wrogiem, groźniejszym od jadowitych węży, lwów i sioni. (kr.)

¹⁾ H. Gordziakowski: „Czarny sen” (wyd. Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa. Cena zł. 3.

Co i jak dawniej jadano

W trzeciej pieśni „Odysei“ znajdujemy opis uroczystej uczty: przy dziewięciu stołach zasiada po pięciuset biesiadników, aby spożyć dziewięć wołów, zabitych na ofiarę bogom. Samą ucztę poprzedzają uroczyste libacje i modły.

Tak więc od niepamiętnych czasów uczty — czy to publiczne, czy w ścisłej sferze kół domowników — nosiły charakter niejako obrządków religijnych. Nastrój ten podnosiły białe szaty biesiadników, których czoła przystrojone były kwiatami. Przewidziany też był dokładnie cały rytuał podobnych biesiad, wyprawianych przedewszystkiem dla uczczenia jakiegoś ważniejszego wydarzenia, wesolego czy smutnego.

To samo widzimy w starożytnym Rzymie: owe „panem et circenses“, po ulicach suto zastawione stoły dla społeczeństwa. A równocześnie prawdziwe orgie Nerona, Witeljusza, czy Heljogabala.

A cóż powiedzieć o owej uczcie Baltazara, która dała Rembrandtowi temat do jednego z najlepszych jego obrazów, znajdującego się w Luwrze? Do historii przeszły też bajeczne uczty Antonjusza i Kleopatry oraz ów epizod z beczenną perłą.

Jak wiadomo, Antonjusz, pragnąc zjednać sobie królowę Egiptu, wyprawiał na jej cześć fantastyczne uczty. Koszt jednej z takich biesiad przekroczył sumę stu tysięcy sestercei, na co nie omieszkał zwrócić uwagę królowej, w formie niezbyt nawet dyskretnej. Kleopatra nie okazała zbytniego wzruszenia. Prostu zaprosiła tylko swego dostojnego gościa na ucztę do siebie, zapewniając go, że potrafi ugościć go jeszcze wspanialej. W oznaczonym dniu Antonjusz zjawia się na dworze. Sa we dwoje tylko. Stół bogato przystrojony. Niewolnicy stawiają przed królową duże kielichy, napełnione octem.

Na oczach zdumionego Antonjusza Kleopatra odpinia kolczyki ozdobione parą beczennych pereł i wrzuca jedną z tych pereł do kielicha, gdzie perła rozpuściła się szybko. Następnie podaje Antonjuszowi ów kielich do wypicia. Drugiej pereł wrzucić już nie zdołała, gdyż Antonjusz temu się sprzeciwił.

Piękny to był, istic królewski gest, — i dobra nauczka „savoir - vivre“ dla dostojnego gościa.

Nadeszła era chrześcijańska. Wiemy z Ewangelji, że Jezus Chrystus, zgodnie z tradycją, chętnie przebywał w towarzystwie swych uczniów i przyjaciół, zebranych przy stole. Przypomnijmy sobie choćby owe Gody w Kanie galilejskiej, cudowne rozmnażanie chleba i ostatnią Wieczerzę, uwieńczone pendzlem najgenialniejszych malarzy, żeby tylko wymienić Leonarda da Vinci i Paula Veronese.

Z biegiem czasu jednak uczty i biesiady tracą zupełnie swój charakter obrządków religijnych. Wyprawia się je z okazji jakichś uroczystości rodzinnych czy publicznych. — jednak już w zamkniętych kółkach, w gronie rodziny lub zaproszonych gości.

Najwięcej obrazów na ten temat stworzyli malarze flamandcy, gdzie bankiety podobne wyprawiane były w pewnych określonych terminach przez rozmaite a liczne korporacje i stowarzyszenia.

Pod tym względem celowała przez długi czas Polska, słynąca na całym świecie ze swej gościnności. „Gość w dom, Bóg w dom“, mówiono. Więc tedy owego gościa, czy zaproszonego, czy niespodziewanego, przyjmowano całym sercem. Dom cały, piwnica, kuchnia, spiżarnia, stały dla niego otworem:

„kuchtów rota koło ognia burzy,
skąd się dym jakby z Etny kurzy,
Ognie kominem widać, jakby bez
Ludną tam Troja gorzała.“

Jakież potrawy dymiły na szlacheckim stole? Dobry kapłon, schab karminego wieprza, pieczeń wołowa lub skopowa, cielęcina, wylicza Wezpazjan Kochowski. Znajdą się jednak i inne,

bardziej egzotyczne dania: na bankiecie u wojewody ruskiego Wiśniowieckiego podawano np. pieczeń z łosia, z żubra, tura. A podczas wesela Jana III z Marysieńką podawano między innymi bobrowe ogony, chrapy łosie i łapy niedźwiedzie.

Zwykła szlachta mniej była wybredna. Jadła dużo, tak dużo, iż w podziw wprawiała cudzoziemców. Jak mówi Rej, wystarczyła dla szlachcica „gęś a smażona pieczenia, a groch z jagłami i donica z pieprzem natartą z piwem a grzankami“.

Osobliwością staropolskiej kuchni były rozmaite bardzo korzenne a zawie-

siste sosy oraz korzenie, jak szafran, imbir, pieprz, muszkatel, cynamon, używane w wielkich ilościach do wszystkich potraw.

Dopiero z rozpowszechnieniem się herbaty i kawy przestano używać przypraw korzennych w nadmiernych ilościach.

Magnateria natomiast lubiała wyprawiać huczne i kosztowne biesiady, zwłaszcza na weselach. Tak np. podczas uczty weselnej w Łańcucie, z okazji zaślubin Felicjana Potockiego z Konstancją Lubomirską zjedzono 60 wołów, 300 cieląt, 50 baranów, 150 prosiąt, 21 ty-

sięcy sztuk drobiu, 12440 ryb i 10 korcy raków, — a wypito 270 beczek węgryna!

Jeszcze jedną cechą staropolskiej sztuki kucharskiej było wysilanie się na zewnętrzna dekorację potraw i półmisek, na pomysłowe i dowcipne maskowanie samych potraw wyszukanymi dodatkami i dekoracjami. Klasyczny w tym kierunku jest opis bankietu w „Panu Tadeuszu“ i owego serwisu, który samego Henryka Dąbrowskiego wprawił w zdumienie.

Dobre to były czasy! Dziś nie brak nam również fantazji, — ale cały jej wysiłek zwrócony raczej w przeciwnym kierunku: wyszukana forma zastępuje — z konieczności — treść nieraz bardzo uboga i skąpa.. (R.)

Nowe instrumenty muzyczne

Było rzeczą do przewidzenia, że ostatnie epokowe wynalazki w dziedzinie elektryczności i radia nie mogą pozostać bez wpływu na nowoczesną muzykę.

Na przeszkodzie stał tu pewien tradycjonalizm, oparty na istniejących dotychczas instrumentach muzycznych, do których dostosowane były wszystkie dzieła mistrzów 18 i 19 wieku. Obowiązywały pewne ustalone kanony klasyczne, których przekroczenie wydawało się jakaś niemal herezja.

Jednak wkońcu i na tem polu postęp zrobił swoje. Z jednej strony szło o udoskonalenie istniejących już instrumentów, o wzbogacenie i rozszerzenie ich skali dźwięków, — z drugiej zaś o stworzenie nowych instrumentów, otwierających kompozytorom nowe zupełnie możliwości, co w rezultacie przyczyniłoby się do powstania zupełnie nowej literatury muzycznej.

Na tem polu zrobiono już w ostatnich latach dużo, a dotychczasowe wyniki pozwalają przypuszczać, że dla muzyki nowoczesnej, dzięki elektryczności i falom Herta otwiera się nowa, wspaniała era.

Wysiłki wynalazców skierowały się przedewszystkiem w kierunku ulepszenia organów. Jest to najwspanialszy instrument, ale posiada liczne wady. Przedewszystkiem jego olbrzymie rozmiary (bywają organy posiadające ponad sześć tysięcy piszczałek!), dalej wysoka ich cena i trudność manipulowania.

Wszystkie te zagadnienia rozwiązują dwa najnowsze wynalazki w tej dziedzinie, obydwie wypróbowane już praktycz-

nie, i to z najlepszym wynikiem.

A więc najpierw: organy fotoelektryczne, skonstruowane w Austrii przez Spielmanna, we Francji przez Tomlona. Konstrukcja ich opiera się na znanych właściwościach komórki fotoelektrycznej. Duże krażki metalowe, na których umieszczono koncentrycznie szereg okrągłych otworów w ten sposób, że każdy następny rząd posiada tych otworów dwa razy więcej od poprzedniego. Ogółem znajduje się na jednym krażku ośm rzędów otworów: w pierwszym cztery, w drugim ośm, w trzecim szesnaście i t. d.

Po jednej stronie krażka znajduje się źródło światła, po drugiej, — naprzeciw każdego rzędu otworów — komórki fotoelektryczne. Skoro krażek wprawiamy w ruch rotacyjny, snop światła ulega przerywaniu w miarę tego czy natrafi na otwór czy też na masę krażka. Regulując dowolnie szybkość obrotów krażka otrzymujemy w obwodzie komórek periodyczne drgania, odpowiadające frekwencji tonów muzycznych. W ten sposób, przy ośmiu rzędach otworów, otrzymać można tę samą nutę w ośmiu oktavach zwykłej gamy.

Uzupełnieniem całego urządzenia, które opisaliśmy tu naturalnie tylko w grubszych zarysach, są odpowiednie amplifikatory i głośniki.

Drugi typ organów, tzw. „radjosyntetycznych“ jest wynalazkiem Francuza, ks. Puget'a, oddającego się z zamiłowaniem studjom fizycznym i technicznym. Organ ten, ustawione w kościele „Notre-Dame du Liban“ w Paryżu, wprawiły w zdumienie zarówno techników jak i muzyków. Liczą one około 1200 piszczałek,

podczas gdy normalne organy o tej samej rozpiętości i skali tonu musiałyby posiadać ich ponad 4000. Największa piszczałka ma 2½ mtr. wysokości przy średnicy 15 cm., podczas gdy analogiczna normalna piszczałka musiałaby mierzyć ponad 10 metrów, przy średnicy 70 cm.

Już te cyfry dowodzą wyższości nowych organów, o ile idzie o ich cenę, konstrukcję i ogólne wymiary.

Nie wdając się w szczegółowy fachowy opis zaznaczymy, że zasada ich konstrukcji polega na wywoływaniu dźwięków syntetycznych, przy odpowiednim zastosowaniu amplifikatorów i głośników. Gra na tych organach nie przedstawia żadnych nadzwyczajnych trudności, a specjalne urządzenie pozwala dowolnie wzmacniać siłę i natężenie tonów.

Identyczny niemal system znalazł zastosowanie przy konstrukcji fortepianów i pianin, wynalazku muzyka i radjotechnika francuskiego, Martenot'a. Przez wmontowanie odpowiednich kondensatorów zmiennych i całego systemu metalowych ruchomych pasków zdołał uzyskać całą gamę tonów, pół- i ćwierć-tonów, o niesłychanie wyraźnym, donośnym, a ciepłym brzmieniu.

Wszystkie te wynalazki pozwalają się spodziewać, że już w niedługim czasie nastąpi w sztuce muzycznej formalny przewrót. I może już za parę lat pojawią się na rynku nowe, nieznanne dotychczas instrumenty, pozwalające wzbogacić niesłychanie skalę naszych wrażeń artystycznych, a otwierające kompozytorom nieprzezwyciężone dotąd możliwości w ich twórczości.

(k. r.)

Mickiewicz i rzymscy klasycy

Czytelnikowi Pana Tadeusza jak wszystkich wielkich epopei świata spontanicznie narzuca się relacja do praźródła swego rodzaju literackiego, który w Homerze i Wergiljuszu niejako skrępił i zbronzował. Impulsy do poznania świata starożytnego wyniósł Mickiewicz z ławy szkolnej i z studjów uniwersyteckich. W r. 1830 zetknął się z klasyczną ziemią italską, a jak z listu Ankwiczowej z lipca tegoż roku widać, nosił się z myślą wyjazdu także do Grecji. Był to rok jej wyzwolenia. Zamarła historia Hellady w myślach wszystkich zmartwychwstała. Dawne pomniki oblały blask nowego życia, który i innym narodom ujarzmionym zajaśniał otuchą i nadzieją. U nas z upadkiem powstania Listopadowego zdawały się one gasnąć, — ale nie gasły w duszy Mickiewicza, który najpierw w prometejskich porwach pragnął je podtrzymać i rozpaść w zbiorowej duszy narodu, by skolei uspokojonym już głosem epiki doń przemówić. I tu może nie próżnym byłoby pytanie, czy w te zmianę tonacji, strojonego drgnieniem serca barbitonu nie wdarł się akord z świata starożytnego.

— Z korespondencji Mickiewiczowskiej wiemy, jak bardzo cenionym przez Mickiewicza pisarzem był Liwjuż, którego dzieło dziś taki znawca kultury jak Birt uważa, za gmach olbrzymi o 142 kolumnach, za panteon rzymskich bohaterów, za epos w prozie. Dzieło swe pisał Liwjuż wtedy, kiedy Rzym republikański z rządami Augusta skończył się. Zamykająca się epokę obrzuca on

ostatniem spojrzeniem, chwytając jasne refleksy minionych dni, krwi i chwały ab urbe condita, od mroku romantycznych zawiązków miasta poprzez zwycięstwa i triumfy, które potęgę Rzymu utrwaliły nad światem. To dioramizne ujęcie Liwjużsa odpowiadało Mickiewiczowi: i sam zwiedza Rzym z Liwjużem, wcytuując się w nim „z dziwnym interesem“ jak pisze z Rzymu do Lelewela, i w wiele lat później córce swej Marii, kiedy z Zofią Szymonowską wybrała się na południe, także z Liwjużem Rzym zwiedzać polecił: „Czytajcie proszę tymczasem Liwjużsa i rozważaj na miejscu — pod względem sztuki (rzeźby i malarstwa) masz w ciotce przewodnika“. Nie forma, lecz rozważanie jest głównym dla niego celem. Do swego „cicerone w Rzymie“ powiada: „Ty umiesz spojrzeć nawet w serce głazu“. Nie tyle więc waży on objaśnienia archeologiczne, które dawała Henryetta jako uczennica archeologa Piotra Visconti, ile myśli w rodzaju odreklamowanego przez Ankwiczównę Byrona przed „Gallem umierającym“ czyli jak wówczas sądzono „Gładjatorem“ w muzeum Kapitołińskim. Owocem takiego „rozważania“ miał być zapewne „Prometeusz chrześcijański“, który według Odyńca w myślach poety w Rzymie szkicował się. Nie inaczej z pomnikiem Marka Aurelega na Kapitolu kocharzył się posąg Piotra W.

W linii takich „rozważań“ czyli wnikań w twórczość starożytną spotkamy i Pana Tadeusza. Kiedy po klęsce powstaniowej naród ujrzał się jakby na beznadziejnym rozstoju między wolno-

ścią a jej grobem, staje przed nim na kształt służy światnego ewokacja pełni bytu i życia narodowego na skrawku nowogrodzkiej ziemi. Przykładem oderwania się od teraźniejszości, zalewanej coraz bardziej obczyzną, były już Puławy, oaza czy punkt wyjątkowy globu ziemskiego, gdzie koło wybranych żyło i oddechało niezmaconą atmosferą przeszłości. Tu fikcja poetycka, chroniąca się w „kraj lat dziecinnych“ z błękitami nad głową, stworzyła obraz o Homerowej pogodzie słońca i nieba, by otworzyć jasne horyzonty dla oka patrzącego w przyszłość.

Tak też pojowali Pana Tadeusza współcześni, jak to przebiega z korespondencji: „Pan Taedusz z rąk moich nie wychodzi. Tak jak dawniej wierzone w Virgilianas sortes, ja w Tadeusza wierzę“ — pisał Edward Raczyński 28 sierpnia 1837. Niespełna w rok później pisze Stanisław Worcel z Londynu o Panu Tadeuszu jako o „owym kamieniu grobowym, położonym ręką geniusza na starej Polsce naszej — bratając przeszłość z przyszłością“. To postępowanie spełniał poemat przez długie lata niewoli — tak też zastaje go jutrzeńka wolności, która zabłysła wielkim światłem nad Polską wskrzeszoną. Jeżeli „ostatni raj“ na Litwie wyszedł, jak wolno przypuszczać, z „rozważań“ Liwjużsa, to rolę swoją i wartością dla narodu prześcignął go, ukazując w twórcy Pana Tadeusza nie tylko odtwórcę „gasnącego świata“, ale krzewiciela i pomnożyciela polskości.

Dr. Wincenty Śmiałek